



Gen. Ignacy Prądzyński
kwatermistrz wojsk polskich w powstaniu 1831 roku.

WIARUS
PISMO DLA ŻOŁNIERZY POLSKICH
WYDAWANE PRZEZ KOMISYĘ WOJSKOWĄ.



Gen. Ignacy Prądzyński

1792—1850.

Jednym z najwybitniejszych wyższych oficerów polskich pierwszych trzech dziesiątków lat 19-go wieku, w okresie, kiedy broń polska tak bardzo czynną była, czy to na szerszym ogólnie-europejskim terenie—podczas wielkich wojen Napoleońskich, czy na węższym, rodzimym—podczas walki o niepodległość przeciwko Rosji w r. 1831, był gen. Ignacy Prądzyński.

Począwszy od r. 1806, w którym wstąpił do nowo tworzącego się na wezwanie Napoleona wojska polskiego, odbył on wszystkie kampanie, w których aż do r. 1814, w tej—w całym tego słowa znaczeniu—wojennej dobie, wojsko polskie brało udział.

Poznał on służbę frontową w piechocie, ale przede wszystkim celował jako znakomity inżynier wojskowy. W całej pełni jednak wrodzony talent jego zabłysnąć miał dopiero podczas kampanii 1831-go r. Tutaj dopiero dał się on poznać jako wysoce uzdolniony sztabowiec, autor świetnych planów wojennych. Posiadał on w dużym stopniu niezbędny dla wodza dar oryentowania się w każdej wojennej sytuacji, zastosowania do niej swych planów, umiejętnego wyciągnięcia z niej potrzebnych wniosków. Prądzyński nie zachwycał się wybuchem powstania 1830 r., gdyż uważał, że rozpoczęciem ono zostało w nieodpowiedniej chwili; ale, raz pogodziwszy się z faktem dokonany, poświęcił Prądzyński sprawie narodowej wszystkie swe siły i zdolności, oddał się jej bez zastrzeżeń. Przez tę swoją gorliwość, zapął do czynu, do energicznego działania—jest on zjawiskiem wyjątkowym wśród ogółu generalicyi polskiej 1831-go r., która przeważnie nie stanęła na tej wysokości zadania, jakiej wymagały nadzwyczajne okoliczności, w jakich znalazła się sprawa narodo-

Ta jego wyjątkowa gorliwość objawia się zaraz w początkach wojny w projektach umocnienia Warszawy i w staraniach około urządzenia t. zw. małej wojny, t. j. partyzantki na całym obszarze Królestwa. On ciągle aż do samego końca wojny jeno myśli o energicznych działaniach, ciągle układa coraz to nowe plany zaczepnego działania przeciwko silniejszemu nieprzyjacielowi, wychodząc z za-

łożenia, że napaść jest może najskuteczniejszym środkiem obrony, zwłaszcza dla słabszego.

Najpiękniejsze momenty powstania polskiego 1831 r.: kwietniowa ofenzywa polska, zwycięstwa pod Wawrem, Wielkim Dębem i Iganiami są owocem myśli i usiłowań Prądzyńskiego.

Pod Iganiami występuje on już nietylko w roli sztabowca-projektodawcy planu strategicznego, ale i jako wykonawca, jako wódz samodzielny grupy wojska, jako doskonały taktyk.

Mimo tych swoich talentów Prądzyński nie wybił się na stanowisko wodza naczelnego, a jeżeli wreszcie tę godność osiągnął pod sam koniec powstania, to po to, aby zaraz złożyć. Prądzyński bowiem przy tych wszystkich swych zdolnościach nie posiadał znów innych potrzebnych wodzowi kwalifikacji: był mianowicie człowiekiem słabego charakteru, pozbawionym niezłomnej, żelaznej woli, łatwo ulegał wpływowi, łatwo dawał się ująć, powodował się przedewszystkiem względami uczuciowymi, nie potrafił iść na przebój trudnościom, zbyt łatwo ugiął się pod niemi, nie potrafił imponować, narzucić swej woli drugim. Sam on to doskonale rozumiał, zdawał sobie z tego sprawę, gdy mówił, że wojskiem posłusznem—choćby 100.000—zdolnym czuje się dowodzić, ale ani tysiącem żołnierzy niekarnych dowodzić by nie chciał.

W skutku tego, nie będąc w możności wysunąć się na stanowisko naczelnego, samemu pokierować wypadkami, zawsze był skazany na zajmowanie drugiego miejsca i to przy ludziach, którzy nie byli w stanie pojąć i wykonać jego pomysłów, czem paraliżowali jego najgorliwsze usiłowania; on zaś napróżno wysiłał i targał swą gorliwość i energię czynu. Dlatego też położenie Prądzyńskiego przez cały ciąg powstania było prawdziwie tragicznem, gdy widział, że działania wojenne nie prowadzone są tak, jakby należało, gdy był najgłębiej przekonany, że wszystko mogłoby, powinno być inaczej, lepiej, sam jednak nic na to poradzić nie mógł. Zrażona takim ciąglem targaniem się energia Prądzyńskiego słabnąć będzie, zacznie on wątpić w pomyślne ukończenie sprawy, stanie się skłonny do uznania jedyne go ratunku w pokojowem załatwieniu zatargu z Rosyą, wytargowaniu jak najlepszych warunków. To przekonanie doprowadzi go wreszcie do podjęcia się niewdzięcznej roli pośrednika w zawieraniu układów o podanie się Mikołajowi.

W każdym razie gorący, nieposzlakowany patryotyzm, niczem niezachwiana dobra wola, szczerze poświęcenie się sprawie powstania i niezwykle gorliwa w niem działalność — zapewniają Prądyńskiemu nieśmiertelne, przodujące stanowisko w szeregu bohaterów walk o niepodległość Polski.

Prądyński był również wysoce utalentowanym pisarzem wojskowym. Jakkolwiek nie odbywał on studyów wyższych w dzisiejszem znaczeniu, jednakże dzięki samouctwu przy wielkiej pracowitości posiadał on rozległą wiedzę fachową i historyczno-wojskową.

Te swoje wiadomości chciał rozpowszechniać wśród jak najszerszych kół swych kolegów-oficerów. W tym celu organizował wykłady strategii i taktyki, chciał wydać encyklopedyę wiadomości wojskowych i czasopismo specjalnie wojskowości poświęcone, „Bellonę“. Kilka jego większych prac, jak napisany zaraz po upadku powstania w 1832 r. na żądanie Mikołaja I go „Pamiętnik historyczny i wojskowy o wojnie 1831 r.“, jak „Czterej ostatni wodzowie polscy przed sądem historii“ (3-cie wydanie w Bibliotece Legionisty, tomik IV i V, Kraków 1916, z przedmową prof. Wacława Tokarza, gdzie podany jest cały życiorys Prądyńskiego), jak wielkie 3 tomowe „Pamiętniki“ (Kraków 1908), wydanych zostało drukiem. Dwie mniejsze „Atak“ i „Bitwa“ ogłoszone są w „Bellonie“. Cały szereg większych i mniejszych pozostaje jeszcze w rękopisie.

Wszystkie pisane są niezmiernie żywo z gorącym umiłowaniem przedmiotu; cechuje je głęboka wiedza fachowa, zapał i chęć czynu, co było tak znamienne w całej działalności Prądyńskiego.

Wincenty Łopaciński.

FELIKS GWIŹDŹ: U P A R T Y.

Nie nowina to, nie bohaterstwo, ba, coraz częstsza, powszednia niemal rzecz w Legionach, że wita się coraz więcej tych, o których już się myślało, że przepadli, jeśli nie na wieki, to przynajmniej aż do oficjalnej wymiany jeńców wojennych. Zjawiają się tacy sami, jak byli, z tą samą świątobliwą fantazyą leguńską — bez marszruty! Wchodzą do kompanii, jak do rodziny, miejsce sobie zrobią odrazu, jeśli go niema, no i...

— Jakże fasunek? Paliwo jest?

Oczywiście jest. Ołówcezek w rękę i zaczyna się oblicza-

nie. Wzięli mnie do niewoli w grudniu 1915 r., przyszedłem do kompanii w październiku 1917 r., ano, oszczędności ładne...

— Zwróca?

— Wątpi Kościół Boży...

— To bym był stracony... Jakże? Człek się naponiewiera po niewolach, drałuje, jak waryat, przez linię do swoich, a potem ci się nie wyrachują z paliwa. Jakże?

I zaczyna się generalne nabieranie nowego alianta. Po tych formalnościach wstępnych, po wzajemnem i najdokładniejszym poinformowaniu się o sprawach bieżących (Polska, papierosy, Polska, buty, Polska, nowy regulamin: lewa pięta grunt, Polska, urlopy i t. p.) — zaczyna się opowieść prosta, uśmiechnięta, chłopięca, a nadewszystko — niesłychanie polska.

— Jak się nazywacie?

— Legionista. Kazimierz Kurek, lat 21, syn rolnika z Królewicz, Królestwo polskie — zeznaje, jak „na protokóle“, bo tych „protokółów“ ściągano z niego po przejściu linii bez liku.

— No i jakże to było? Od początku...

— Od początku? Ano... od początku to tam nie ciekawego. Jak na wsi. Czasem z żydami jeździłem po miasteczkach, czasem —

— Ale od wstąpienia do Legionów.

Do Legionów wstąpiłem w sierpniu 1915 r. Ze swojego sumienia. Nie namawiali mnie tam dużo, bo ja już miałem to przekonanie na mochów sam z siebie. Tak mnie posłali do Sandomierza, tam była jakby szkoła nasza. Niedługo człek sie tam uczył i poszedł z marszową kompanią do 1 pułku piechoty. Były wtedy wielkie chlapy i zimna. Wojowałem na Wołyniu, a w szóstym boju moim, już za Kolkami, dnia 9-go grudnia 1915 r. dostałem się wraz z czterema innymi kolegami do niewoli. Zaskoczyli nas. Ano darmo. Popadł człowiek w plen, tak i w plenie radzić sobie trzeba. Wzięli nas za ręce i tak poprowadzili do komendy pułku. Tam wsadzili nas na wóz i odesłali pod eskortą 6 kozaków do dywizyi. Z dywizyi do korpusu, do Równa. Tymczasem jeden z naszych, leg. Żak, zeznał, że pochodzi z Warszawy. Wobec czego zamknęli nas wszystkich w ciemnicy. Czterech, którzyśmy zeznali, że pochodzimy z Galicji, odesłali pod Kijów do Darnicy, a Żak przepadł. Co z nim zrobili, gdzie się podziewa — nie wiem. Do Darnicy szliśmy piechotą 19 dni w plucie śnieżnej, w zimnie, marnie odziani, w lichych butach. Smutno było człowiekowi, szczególnie w wilię Bożego Narodzenia, którą przebyliśmy w marszu...

W Darnicy byliśmy dwa dni. Kto szedł na roboty, dostawał na śniadanie $\frac{1}{4}$ f. chleba, pół menażki herbaty i $\frac{1}{2}$ kostki

cukru, na obiad pół menażki wodnistej zupy i $\frac{1}{4}$ f. chleba. Po dwu dniach pobytu w Darnicy odesłali nas do kopania okopów na zachód od Kijowa. Stamtąd z początkiem kwietnia rzucono nas znów do kopania rowów pod Żytomierz. Z pod Żytomierza ściągnięto mnie z końcem maja 1916 r., już samego, bo byłem przy koniach, z powrotem do Darnicy, a z Darnicy do pe-
wnej fabryki żelaza w Besarabii...

Myśl ucieczki chodziła za mną od pierwszego dnia niewoli wszędzie. Przemysliwałem dokonać jej na różne sposoby. W Besarabii już na czwarty dzień pobytu w fabryce miałem ubranie cywilne i ruski kaszkiet. Uciekłem. Akurat wybuchła wielka ofenzywa rosyjska na Łuck. Skierowałem się na Polesie, tam gdzie mnie ujęli. Różnymi drogami, piechotą i wojskowymi furami, a nawet koleją dotarłem do Maniewicz. Miałem trochę grosza...

— Skąd?

— A dały mi po drodze rusinki. Wiedziały ktom jest i co zamierzam. Z tych pieniędzy przekupiłem pod Maniewiczami dwa posterunki rosyjskie, ale trzeci mnie ujął i oddał żandarmeryi. Żandarmi dali mi 25 batów, stłukli kolbami tak, że ledwie żyłem, i odesłali znów do Darnicy. Tam siedziałem 7 dni w areszcie o chlebie i wodzie. A co mi nadokuczali, trudno opowiedzieć. I to już nie moskale, bo tam jest tylko oficer inspekcyjny rosyjski, a zresztą zarząd całego obozu jeńców spoczywa w ręku Czechów. Tam też organizują serbscy oficerowie drużyny słowiańskie. Nas nie namawiali do wstępowania do tych drużyn, gdyż Polacy kpili z nich.

Z aresztu odesłali mnie do Czernichowa na robotę. Tam byłem trzy dni. Zdobyłem przez ten czas mundur żołnierza rosyjskiego i w tym mundurze znów uciekłem. Dotarłem do Kijowa i stąd — bez żadnych dokumentów — wsiadłem do pociągu, idącego do Równa. W Równie jednak znów mnie przyłapali, obili w straszny sposób i wsadzili do aresztu. Z aresztu odesłali mnie do portu Teodozyi nad Czarnym Morzem. W porcie tym pracowałem całą zimę, aż wybuchła rewolucya.

Jak wybuchła rewolucya, powstało zamieszanie. Codziennie słuchało się kogo innego. Tak ja miałem dość tego i 15 kwietnia w cywilnym ubraniu uciekłem po raz trzeci. Jechała marszkompania do Kijowa wojskowym pociągiem i zabrała mnie z sobą.

— Jakto?

— Ano dałem feldfeblowi trzy ruble. I to było za dużo, bo od rewolucyi tam bardzo potaniały takie rzeczy...

Przyjechałem do Kijowa, a stąd udałem się do Wasilkowa.

i tam dostałem robotę u jednego gospodarza. Pracowałem tam do sierpnia. W sierpniu pociągiem—w mundurze piechura rosyjskiego — przybyłem do Łucka. W drodze nie pytał mnie nikt o nic. Teraz tam wolność. Jeździ każdy, jak kto chce i gdzie chce. Ja jechałem z innymi ruskimi na dachu wagonu, W Łucku poznałem jednego polaka, którego mi wskazali jeńcy-polacy z austriackiego wojska. Ten mi dobrze poradził. Doszedłem do frontu i tam na jednej łączce w zaroślach leżałem od piątku do wieczora soboty. Byłem głodny. Wyszedłem więc w sobotę wieczór z kryjówki i poszedłem do kantyny pułkowej. Kupiłem sobie chleba, dwa ogórki i papierosów i wracam, a tu ktoś mnie woła:

— Ej brat, a ty skąd?

— Z kijowskiej gubernii — mówię.

— Toż i ja z kijowskiej. A skąd?

— Z Wasilkowa.

— Toż i ja z Wasilkowa. Dawnoś tam był? Co słyhać?

Tak ja mu zaczynam z ruska opowiadać, jakie tam się rewolucye porobiły, komu konie ukradli, kogo obili, komu pieniądze zabrali, która wyszła za mąż, bom to wszystko wiedział z pobytu w Wasilkowie. Ucieszył się ten żołnierz nowinami, poczęstował mnie czajem i papierosami i pożegnaliśmy się. Odetchnąłem i znów wróciłem na moją łakę. Przeleżałem tam do poniedziałku nocy. Noc przyszła ciemna, że oko wykół, zaszeleścił deszcz...

W imię Boga ruszyłem ku linii. Było to 21 sierpnia 1917 r. Ostrożnie i powoli posuwałem się naprzód. Cicho. Zarzuciłem płaszcz na druty i tak przetoczyłem się po nich.

— „Wer ist zu Front, Dojeicie czy Estrajsie“? — wołam. Bom to umiał dobrze. Ale nie odpowiada nikt. Takem się znów przegramolił przez te druty i dochodzę do drugiej linii. Znowu wołam na głos po niemiecku. Po chwili słyszę:

— Dojeicie!

— Dobrze! — myślę sobie i zaraz do nich wołam na nowo: Nie strzelajcie, bo ja jestem z pierwszego polskiego regimentu piechoty, uciekam z niewoli.

Pokazali mi drogę i zaprowadzili do feldwebła. Ten mi dał dwa cygara i cztery papierosy i odesłał mnie do batalionu. W batalionie dali mi chleba i kawy, poczem odesłali mnie do Włodzimierza Wołyńskiego. Tam austriacy trzymali mnie 3 tygodnie „na protokóle“, potem odesłali mnie do Lwowa, do polskiej stacyi zbernej, a stamtąd do Przemyśla do kompanii...

Kurek nie wierzy w odrodzenie Rosyi. Żeby była nawe trzy razy większa — powiada — to przepadnie, bo ani składut

ani ładu tam teraz niema. Z tablicami chodzą, „dałoj“ wołają, sklepy grabią i to przeważnie wojskowi. A na froncie ich mało. I coraz mniej będzie, bo zima idzie, każdy chce do domu. Po prostu wóz się rozleciał, a nie ma majstra, coby go, miał złożyć.

Pokiwał głową Kurek i nad ostatnimi zajściami w Legionach. Ale postanowił zostać. Poto przecie trzy razy uciekał z niewoli, poto uciekł, aby pod swoim sztandarem stać, a jak trzeba iść na wroga. Uparty polski chłop...

Co każdy żołnierz powinien wiedzieć o karabinie maszynowym.

Ogień KM i jego rodzaje.

III

Skuteczność ognia K.M. jest wielką, ale tylko wtedy, jeżeli obsługa stoi na wysokości swego zadania. Karabin maszynowy jest maszyną obsługiwaną przez człowieka, który posiada nerwy. Maszyna tak działać będzie, jak nią pokieruje człowiek. O ile swych nerwów obsługa K.M. nie potrafi krótko w garści trzymać, natenczas szkoda będzie marnować amunicję i zużywać tak kosztowną broń, bowiem nietylko, że nie osiągnie ona żadnego skutku, lecz nawet może spowodować szkodę. Nieprzyjaciel pocznie lekceważyć sobie K.M. i tem śmieiej zadawać będzie straty naszej piechocie.

Skuteczność ognia zależy tedy głównie od obsługi K.M. O ile ona dokładnie określi odległość, należyte obserwuje padanie kul, trafnie wyzyskuje szybkość ognia i dobrze reguluje ogień wgląd, natenczas dobry skutek jest zapewniony. Podczas ognia konieczną jest nieustanna obserwacja padających kul, gdyż nieustannie niemal trzeba regulować układanie się ich rozrzutu. Wiązka rozrzutu nie powinna „skakać“ po celu, lecz równomiernie po nim przesuwac się falisto. Celowniczy zawsze cel musi mieć na muszce, względnie na wierzchołku trójkąta lunety celowniczej.

Często jednak przeciwdziałanie przeciwnika lub właściwości terenu utrudniają obserwację, co natychmiast ujemnie odbija się na skuteczności ognia. Skuteczność ta będzie również mniejszą, gdy rozciągłość ostrzeliwanego celu jest wielką i gdy poszczególne punkty celu są wszcz

i wgląb rozproszone. Wtedy potrzeba dużej ilości amunicji, aby taki cel należycie można było ostrzelać.

Amunicja jest bardzo czułą stroną K.M., szafowanie nią musi być bardzo ostrożne i przezorne, gdyż może jej zabraknąć właśnie w takim momencie, kiedy jej koniecznie będzie potrzeba. To też skuteczność ognia K.M. również wiąże się ściśle z ilością rozporządzalnej amunicji i zależy od tego, ile jej wystrzelać można. Rozumna organizacja dostawy amunicji w znacznym stopniu usuwa tę boleszkę K.M., jednak i wtedy nie pozwala na lekkomyślną rozrzutność. K.M. potrafi pochłonąć wszystko, co mu pod paszczę podsunąć.

To też w walkach piechoty ogień K.M. ograniczać się musi wskutek tego do krótkich fragmentów i ostrzeliwać cele tylko istotnie ważne i korzystne, jak skoki nieprzyjacielskiej piechoty w momencie jej podrywania się i biegu, wspieranie skoków własnych, zwalczanie nieprzyjacielskich K.M. — i t. p. Niespodziewane otwarcie ognia powiększa jego skutek.

To też często wypadnie K.M. przez dłuższy czas leżeć w ukryciu i milczeć, aby się nie zdradzić przedwcześnie ¹⁾.

Wogóle K.M. zawsze powinny swoje stanowiska ogniowe skrętnie i dokładnie maskować, aby przez możliwie najdłuższy czas nie zostały wysledzone, gdyż w przeciwnym razie nieprzyjaciel postara się wkrótce je unieszkodliwić. Najpoważniejszym wrogiem K.M. są właśnie K.M. i artylerja przeciwnika. To też te pierwsze są przede wszystkim zwalczane jaknajenergiczniej, zaś przed wrogiem drugim, ponieważ jest on, niestety, przeważnie dla K.M. niedosięgalnym, najskuteczniej jest tylko dobrze się ukryć i nigdy się nie skupiać w jednym miejscu. Gdy jednak zostaną już wysledzone, to nie pozostaje nic innego jak zmienić pozycję ogniową, tylko możliwie w sposób skryty i niewidoczny dla wzroku przeciwnika.

Stanowiska ogniowe K.M. muszą być przez obsługę bardzo umiejętnie wybierane. Przy wyborze przede wszystkim na względzie mieć należy skuteczność działania ognia, później dopiero ich zalety ukrywcze. Odpowiedni wybór tła, staranne zamaskowanie i niedostrzegalne dla chciwych oczu wroga zajęcie pozycji, oto zasady, jakimi

¹⁾ K.M. nie powinny otwierać odosobnionego ognia, tylko wśród grzechotu sąsiednich karabinów piechoty — dlaczego?

kieruje się obsługa przy zajmowaniu pozycji ogniowej. Częste zmiany tych pozycji są bardzo niepożądane, bowiem K.M. wtedy właśnie z konieczności muszą milczeć i wreszcie najczęściej wtedy ponoszą straty w ludziach lub sprzęcie. To też najkorzystniejszą będzie taka pozycja, z której przez dłuższy czas można ogień prowadzić.

Lecz, niestety, takie pozycje trafiają się rzadko. Zresztą K.M. są ściśle związane z tyralierką własnej piechoty, która wcześniej, czy później przesłoni im cel i z konieczności zmusi do zmiany stanowiska. To też K.M. najchętniej wybierają sobie pozycje na wzniesieniach terenu, z których mogą, przy pewnych warunkach i dzięki pewnym właściwościom K.M. 08, strzelać nawet poprzez głowy własnej piechoty *ogniem przerzutowym*¹⁾.

Dobrze jest, gdy stanowisko ogniowe można znaleźć gdzieś ze skrzydła na uboczu, bowiem wtedy można razić przeciwnika *ogniem skrzydłowym (flankowym)*, który jest daleko więcej skuteczniejszy od *ognia frontowego*. Stanowiska takie noszą nazwę *pozycji flankowych*, w odróżnieniu od *pozycji frontowych*, nawprost przeciwnika. Ogień flankowy jest najkorzystniejszym ze wszystkich innych nie tylko dlatego, że zadaje większe straty przeciwnikowi, który z boku zwykle nie tak skrupulatnie zasłania się osłonami, lecz i ze względów moralnych, bowiem więcej przeciwnika niepokoi i denerwuje.

Stanowiska przy t. zw. punktach szczególnych, jak naprz. oddzielnie stojące zabudowania, wiatraki, młyny, kaplice, wieże, grupy drzew lub drzewa sieroce, powinny być starannie omijane, gdyż chociaż dają doskonałe ukrycia i możliwość panowania ogniem nad rozległym terenem, to jednak szybko zdradzają się i stają się bardzo łatwe do wstrzelania się piechoty i K.M. przeciwnika, a przede wszystkim dla najniebezpieczniejszego wroga K.M. — artylerji.

K.M. nigdy nie powinien występować w odosobnieniu, tylko zawsze w towarzystwie drugiego, w pobliskim sąsiedztwie walczącego, aby w razie zacięcia się, uszkodzenia, lub wreszcie zupełnego unieszkodliwienia go — nie zamilknąć, pozbawiając własną piechotę tak potężnej pomocy ogniowej.

To też, gdy posłyszysz się terkot jednego K.M., zawsze można i należy z pewnością spodziewać się i szukać w pobliżu drugiego.

¹⁾ O tym ogniu pomówimy później w osobnym artykule.

K.M. walczące w sąsiedztwie zawsze dzielą między siebie cele na odcinki, które ostrzeliwują. Jeżeli z jakichkolwiek powodów jeden z K.M. zamilknie, natenczas jego sąsiad pospiesza z pomocą piechocie i obejmuje swym ogniem i odcinek milczącego towarzysza. Dla spotęgowania skuteczności ognia niezbędne jest wzajemne współdziałanie K.M. między sobą.

J. K. Latour.

Sport i wojskowość.

Referat wygłoszony na zjeździe sportowym d. 20 b. m.

Od zarania historii ludzkości widzimy wojny, widzimy przeróżne uzbrojenia wojsk, zastawiane do epok i do stopnia rozwoju ówczesnej wiedzy. Zwyciężały zwykle wojska, które — oprócz patriotyzmu — były najkarniejsze, najlepiej wyćwiczone. W dawnych szczególniejszych wojskach siła fizyczna, umiejętność i zręczność władania sieczną i palną bronią miały wielkie znaczenie — rozumie się, obok wojskowej organizacji, jaką w starożytności odznaczał się przede wszystkim greki, rzymianie i kartagińczycy. Walki bezładne, chaotyczne, w których przyjmowałyby udział nawet odważni i atletycznej siły żołnierze, przeciw dobrze wyćwiczonym szeregom nie mogą osiągnąć powodzenia. Dlatego to nieporównanej odwagi i fizycznej siły galowie byli zwyciężeni przez karne i zahartowane legiony Juliusza Cezara, którego taktyce musiał uleść nawet bohaterski ich wódz Vercingetorix¹⁾. Przypomina to nasze powstania, tchnące zapalem i poświęceniem, a zarazem wyróżniające się brakiem silnej, żelaznej wojskowej organizacji. Ale w żadnym okresie historii indywidualna siła fizyczna i odwaga nie posiadały tego znaczenia, co w wiekach średnich, w wiekach zakutej w stal kawaleryi.

Rycerz w pełnej zbroi na swoim rumaku, osłoniętym żelaznymi blachami, był w stosunku do mało okrytej piechoty lub

¹⁾ Vercingetorix (51 lat przed nar. J. Chr.) — słynny wódz galów, walczył długo i uparcie przeciw Cezarowi; ostatecznie został zamknięty wraz z powstańcami w mieście Alesia. Gdy załoga głodem zmuszona zwróciła się o warunki poddania, Cezar odmówił wszelkich warunków, dopokąd wódz galów nie byłby mu wydany. Wówczas Vercingetorix poświęcił się — wyjechał konno do obozu rzymskiego, a zbliżywszy się w galopie do Cezara, — rzucił mu pod nogi swój hełm, miecz, włócznię. Zwycięzca odesłał go w kajdanach do Rzymu.

jazdy czemś w rodzaju dzisiejszego czołgu (tanku), rodzajem ruchomej forteczki, która toruje sobie drogę wśród nieprzyjaciół zastępu. Niejednokrotnie jeden rycerz przeważał szalę zwycięstwa, a górujący liczbą, lecz gorzej zbrojni przed nim ustępowali. Nawet w XV wieku, gdy po wynalezieniu broni palnej już się taktyka przeobrażała, francuski rycerz Bayard, zwany rycerzem bez lęku i skazy, w czasie kampanii włoskiej, rozparty na swym potężnym bojowym rumaku, na moście pod Garigliano przez długi czas zatrzymywał sam jeden napór całego oddziału nieprzyjacielskiego, a tylu przeciwników powalił, iż utworzył się przed jego koniem jakby wał ochronny.

Bezwątpienia do ówczesnego rodzaju walki, do noszenia ciężkiej broni, władania długą kopią, ciężką buławą, szerokim mieczem—potrzeba było oprócz wyrobienia i dużej fizycznej siły. Tę siłę zdobywało rycerstwo rodzajem życia, jakie wiodło, dzięki ciągłym od dzieciństwa niemal ćwiczeniom w robieniu bronią, jeździe konnej, pływaniu i t. p. Ówczesne polowania z oszczepem na odyńca i niedźwiedzia i całe tygodnie przebywania w olbrzymich lasach były wyborną szkołą, przyczyniającą się do potęgowania sił fizycznych.

Turnieje, tak rozpowszechnione w wiekach średnich, też wymagały dużo sił i zręczności — i poniekąd były one obrazem ówczesnej wojny. Czyli, że wówczas do wojny szlachcie każdy sposobił się niemal od dzieciństwa, a z nim i czeladź, służąca po zamkach i dworach. Wiejski zaś lud, żyjący z przyrodą i oddany ręcznej twardej pracy, był zahartowany i wytrzymały.

W czasach rycerstwa wielu ludzi odznaczało się niepospolitą siłą fizyczną. Jeżeli sięgniemy do przykładów z historii polskiej, to znajdujemy, że Janusz II, ostatni książę Mazowiecki, wyrzucał zręcznie ogromne koła lub kamienie, rwał grube sznury, kruszył podkowy. Zygmunt I, król polski, łamał podkowy, tuziny kart do grania i sznury przerywał. Niejaki Świętosław, herbu Łada, z ziemi Sieradzkiej, w ciężkim rynsztunku żelaznym przepłynął Dunaj. Jan Tarło, krajczw Zygmunta I, porywał w gonitwach konnych przeciwnika z kulbaki, unosił go i na ziemię sadzał. Wojciech Łochowski, cześnik ziemi Dobrzyńskiej, cały w zbroję jak do boju ubrany,—konia przeskakiwał. Wojciech Buczyński sześciu husarzy do góry podnosił. Agust II, Sas, nieszczęśliwie nam panujący w XVIII w., również w rękach łamał podkowy.

Że w dawnych czasach było dużo ludzi wyróżniających się nawet nadwyzczajną siłą, nie ulega wątpliwości, lecz ze zmianą obyczajów, z coraz większem skupieniem się w miastach, a przez to brakiem świeżego powietrza, wiejącego z pól i lasów, z coraz

skąpszem odżywianiem się następowało stopniowe osłabienie organizmów.

W zachodnich społeczeństwach ten objaw już dawno zauważono i starano się tam odrodzić młodzież za pomocą sportów. Przedewszystkiem Anglia dała w tym kierunku przykład — różne zabawy sportowe zespoliły się z obyczajami jej mieszkańców. Niezadługo Anglię zaczęły naśladować inne państwa, jak Francya, Belgia, Niemcy, Szwecya, Szwajcarya. W Szwecyi obecnie tak dalece rozwinęły się sporty, iż wchodzą w zakres programów szkolnych i nietylko stosowane są tam ćwiczenia ciała, ale i strzelnictwo. Szczególniej we wrześniu — przed rozpoczęciem wykładów — słyszy się na różnych placach Sztokholmu, znajdujących się nawet w śródmieściu odgłosy wystrzałów. To młodzież wprawia się w strzelaniu, do tarczy. Jak rozwój umysłowy rozpoczynamy od lat dziecięcych, tak, pragnąc rozwinąć siły fizyczne pewnej jednostki, lub zbiorowych grup, trzeba wczesnie — tylko umiejętnie i ostrożnie — do tego przystępować.

We wszystkich terazniejszych państwach europejskich przyjętą została ogólna służba wojskowa. Cała młodzież, a nawet ludzie już dojrzały w razie potrzeby stają pod sztandarami i bronią ziemi ojczystej. Biada zaś narodowi, któryby jej broń moralnie i fizycznie nie był w stanie! W dzisiejszym zatem systemie wojskowym poniekąd naród cały zmienia się na żołnierzy. Ale jakieby nie było uzdolnienie, nawet genialność, naczelnego wodza, jakżeż trudne będzie jego zadanie, o ileby do apelu stawały przeważnie tylko tysiące słabych, chorowitych, zdenerwowanych młodych ludzi.

Jeżeli przy nowej bojowej taktyce, przy bajecznym rozwoju balistyki, strasznym huraganie pocisków, wyrzucanych przez olbrzymie działa na bardzo duże odległości, blednie osobista siła fizyczna i nie ma tego znaczenia co w wiekach rycerstwa, nie mniej siły te potrzebne są żołnierzom, gdyż dają im wytrzymałość, odporność na trudy i na niewygody.

A przymioty te w wojsku, szczególnie w czasie kampanji, w czasie długich pochodów, stanowisk w polu, w zimnych okopach są wielkiej wagi. W starciach zaś na białą broń siła fizyczna, łącznie z wyrobieniem, daje przewagę. A do walk tego rodzaju, pomimo całej druzgoczącej potęgi ognia, dochodzi i obecnie przy zdobywaniu okopów, wsi, miasteczek i spotkaniach kawaleryi.

Aby móżdżek wystawić rzeczywiście dzielny, pełną hartu armię, trzeba od ławy szkolnej nietylko rozwijać ducha młodzieży, ale fizycznie i ciało. Różne sporty, a przedewszystkiem gimnastyka, powinny urabiać żołnierzy, przyszłych ojczyzny obrońców.

Cwiczenia gimnastyczne wchodzą w regulamin wojskowy. Rekruci mają w drapywać się na drabiny prosto ustawione, na słupy, na wały, przebywać głębokie rowy, wołyżować, wskakując na drewniane, a jak w kawalerii i artylerii na żywe konie i t. d. Dla początkujących jest to bardzo dużo; szczególnie dla tych, co się nigdy gimnastyce nie oddawali i nie mają o niej pojęcia. Przeważną zaś ilość rekrutów u nas do tej kategorii zaliczyć należy. A wszystkie zaznaczone ćwiczenia o ileż zręczniej, łatwiej i dokładniej byłyby wykonywane przez młodych ludzi *już wyszkolonych*. Niema wątpliwości, iż łatwiej wciągać się pod okiem doświadczonych nauczycieli w wieku od 14—18 lat do różnych ćwiczeń sportowych, gdyż organizm w tym wieku łatwiej do nich przystosowuje się, niż rozpoczynać je dopiero, mając skończonych lat dwadzieścia, t.j. w normalnym wieku rekruta. Sportowcy, przybywając do pułku, mogliby nawet szczepić pewien duch zdrowej tężyzny. Wiadomem jest, jak w angielskiem wojsku gry sportowe: piłka nożna, krokiet i inne są rozpowszechnione, a zabawy tego rodzaju są dobrem lekarstwem nie tylko dla ciała, ale i dla ducha, na nudy, zniechęcenie, powodowane niejednokrotnie nużącą jednostajnością ćwiczeń w obozach.

Konny sport, przeniesiony z zewnątrz do szwadronów z pól wyścigowych, z konkursów hippicznych, szczepił w nich pierwiastki junactwa i zwalczał stare rutyny, oparte niemal wyłącznie na manężu.

Należy zwrócić uwagę, że młody człowiek, przybywający do pułku z zapasem wyrobionych sił, wytrzymałości, zręczności, któremu gimnastyka, a może nawet strzelnictwo nie jest obce, ma bardzo uproszczone zadanie i służba nie będzie mu się wydawać tak ciężką, jak tym, co przychodzą zupełnie niewyrobieni, dla których, wszystko jest dziwnie trudne. Zatem pożądanem jest, żeby „Koło sportowe“ i inne pokrewne instytucje mogły rozwinąć swoją działalność i na prowincję do miast, żeby ćwiczenia fizyczne rozszerzały się i nabierały coraz większej wagi. Z miast prowincjonalnych przejdą z czasem i do wsi. Sport w wojskowości może odegrać dużą rolę, nabrać doniosłego znaczenia i zamiast być tylko rozrywką, jak wielu przypuszczało, może też przyczyniać się i do obrony narodowej. A nam tak potrzeba silnych, zręcznych, dzielnych młodych pokoleń, które, miejmy nadzieję, będą stanowić kadry przyszłej armii polskiej, a na nią oczy i nadzieje całego kraju będą zwrócone. Armia ta powinna stać na straży przyznanych nam granic, a zarazem powinna Polskę bronić od dzikich, barbarzyńskich, krwawych żywiołów, zagrażających jej od rozpadającej się Rosyi.

S. Wotowski.

Poczta gołębia w wojskach.

Przed dziesiątkami wieków zauważono wybitnie rozwinięty zmysł kierunku u gołębi, które, oddalone przez człowieka od swych gniazd i puszczone potem na wolność, zawsze prawie powracały do miejsca, skąd je zabrano, przebywając niekiedy setki kilometrów. Obserwacye te pobudziły człowieka starożytnego do wyzyskania praktycznego—na swój użytek—tego zmysłu. I tak, wiemy, że przy pomocy gołębi, którym do nówek przytwierdzano odpowiednie zwitki z wieściami, żeglarze egipscy powiadamy z dalekich przestrzeni morskich o swoim powrocie do portów rodzinnych; grecy—już w V wieku przed Chrystusem—na kraj cały rozsyłają wiadomości o wynikach igrzysk olimpijskich.

Czynione doświadczenia pozwalają na coraz szersze zastosowanie poczty gołębiej. W VII w. po Chrystusie widzimy państwową pocztę gołębią w Persyi, która obsługuje ludność przez pięć wieków bez przerwy aż do najścia Mongołów, rozszerzając ku końcowi tego okresu działalność na Syryę i Egipt.

W Europie szerszemu ogółowi poczta taka znaną nie była; wyzyskiwano tu gołębie przeważnie do celów wojskowych i wielokrotnie zaważyły one bardzo poważnie na szali wypadków. Jako przykład przytoczę miasto Harlem, które w 1553 r., obleżone przez hiszpanów i wycieńczone głodem, przerwało rokowania o poddanie, dzięki otrzymanej wieści o zdążającej odsieczy, którą to wieść przyniosły dwa gołębie. (Gołębie te wypchane oglądać można na ratuszu w Leyden).

W czasach nowożytnych, dzięki potężnemu rozwojowi środków komunikacyi, poczta gołębia zatraciła swe znaczenie ogólne, dla sfer wojskowych jednak pozostaje nadal bardzo cennym środkiem porozumiewawczym. Dobitnie przekonało o tem państwa umiejętnie wyzyskanie gołębi przez francuski rząd obrony narodowej w 1870 r., a to w celu zachowania łączności z obleżonym przez prusaków Paryżem. Między miastem Tours (czytaj Tur), a później i Poitiers (czytaj Puatje) a stolicą zorganizowano stałą pocztę, za pomocą której przesłano 115,000 wszelakiego rodzaju depesz i wiadomości. Materiał do przesyłania drukowano w postaci gazety, następnie, fotografując, zmniejszano tak, że 16 stronic albumowego formatu umieszczano na płycie celuloidowej, szerokości 1 ctm. i długości 6 ctm. (18 takich płytek ważyło pół grama). Płytek o jednakowej treści przygotowywano 20—30 sztuk i przytwierdzano do tyłuż gołębi, które razem puszczano.

Slusznosc puszczenia gołębi grupami okazała się potem, gdy przekonano się, że z pośród 300 wysłanych—dotarło do Paryża za zaledwie 7.

Zuraz po wojnie państwa współczesne zajęły się stworzeniem poczty gołębiej, i otoczyły należytą opieką prawidłowy jej rozwój przeznaczając głównie do obsługi twierdz na wypadek oblężenia.

Przed wojną obecną armia francuska posiadała 28 stacyi poczty gołębiej, porozmieszczanych w twierdzach. Na każdej stacyi znajdowało się 100 gołębi, gotowych do pełnienia „służby”, oraz—jako rezerwa—130 starych i 200 młodzieży (do 1 roku). Umieszczane gołębie w małych, wzorowo urządzonych domkach, wysokości do 5 mtr., zaopatrzonych w wodę bieżącą i zabezpieczonych odpowiednio przed kotami, szczurami i t. p. Na każdego starego gołębia przypada 1 m. sześcienny powierzchni, na młodzież po $\frac{1}{4}$ mtr. na sztukę.

Wejście do gołębników tak jest urządzone, że gołąb, który wszedł, wyostać się z powrotem nazewnątrz niema możności; wogóle zaś wypuszczane są gołębie w ściśle określonych godzinach.

Gołębie pocztowe są, rozumie się, odpowiednio szkolone. Pięcio, sześciotygodniowa młodzież, trzymana do tego czasu w gniazdach, przenoszona bywa do gołębników, gdzie dokładnie zapoznaje się z miejscem stałego swego pobytu; następnie rozpoczynają się ćwiczenia w locie. Młódz zostaje wypuszczaną z gołębnika i zmuszaną do lotu wokoło. Ćwiczenia te, powtarzane dwa razy dziennie, trwają początkowo około trzech minut, poczem stopniowo są przedłużane, tak, że dla trzechmiesięcznego gołębia trwają najmniej godzinę. Gołębie o słabym locie, łatwo męczące się, oraz siadające na drzewach i domach sąsiednich—są niezwłocznie zabijane.

Po nauce latania ćwiczone są gołębie w przenoszeniu depesz z coraz bardziej oddalonych miejscowości i z coraz innych kierunków, przyczem unika się wogóle ćwiczeń w czasie deszczu, śnieżycy i mgły. Do ćwiczeń gołębie podzielone są na dwie grupy: starych $1\frac{1}{2}$ — 8 letnich i młodzież.

Stare pierwszego dnia ćwiczeń przelatują najmniej 20 klm., poczem oddalenie wzrasta, aż trzydziestego czwartego dnia, gdy lecą z odległości 300 klm., przebywając przestrzeń tą pojedynczo lub po kilka sztuk, wyjątkowo tylko stadami. *Młodzież* przebywa w ciągu sześciotygodniowych ćwiczeń odległości 10 — 200 klm., przeważnie większemi grupami.

Za normalną szybkość lotu dla gołębi (we Francyi) uważa się 800 — 900 mtr. na minutę.

Każdy gołąb ma na lewej nodze obrączkę aluminiową ze znakiem stacyi, numerem i datą wylęgu. Taż sama data jest

odbita pieczęcią na prawem skrzydle z dodaniem liter M. (samiec) lub F. (samica). Na prawej zaś nodze posiada obrączkę celuloidową, której barwa oznacza przynależność do odpowiedniego okręgu wojskowego, przyczem samce mają szerokie obrączki, samice — wąskie.

Inaczej nieco wygląda organizacja poczty gołębiej w Niemczech. Każda twierdza posiada tu stację z ilością gołębi, zależną od znaczenia twierdzy, niekiedy aż do 1,000 sztuk. Wszystkie stacje są w łączności ścisłej ze Szpandawą (twierdzą), w której znajduje się stacja centralna poczty gołębiej. Na czelu każdej stacji znajduje się specjalny oficer, do którego należy kierownictwo nad wyszkoleniem i wszystkie sprawy z pocztą związane. Każdy gołąb ma swoją metryczkę, w której podane są ściśle dane z zaznaczeniem skąd i dokąd podróż odbywać może. Gdy twierdzy grozi oblężenie — gołębie zostają odesłane do określonych w metryczkach twierdz, celem przyjmowania depesz; wzamian zaś twierdza zagrożona otrzymuje z innych potrzebną liczbę dla nadawania tychże, przyczem dla każdego kierunku przynajmniej 200. Wysyłane są gołębie po 3 — 5 sztuk po uprzednim troskliwym napojeniu.

Za szybkość przeciętną uważa się 70 klm. na godzinę.

Poza stacyami wojskowemi armie rozporządzają na wypadek wojny gołębiami hodowanymi przez związki hodowców, którym rządy często udzielają wskazówek fachowych. W Niemczech np. związki te posiadają do 70,000 sztuk.

Praktyka obecnej wojny wykazała użyteczność poczty gołębiej — na froncie. W chwilach, gdy w ogniu huraganowym zostają przerwane wszelkie środki łączności, linie czołowe przesyłają meldunki o sytuacji za pośrednictwem gołębi. W celu powyższym każdy pułk francuski posiada 12 gołębi, utrzymywanych w klatkach pod opieką 6 żołnierzy — gołębiarzy pod ogólnym nadzorem oficera. Gołąb wypuszczony odlatuje do stacji centralnej (w Sassej), skąd bezwzględnie przesyłane są podług adresu otrzymane wieści.

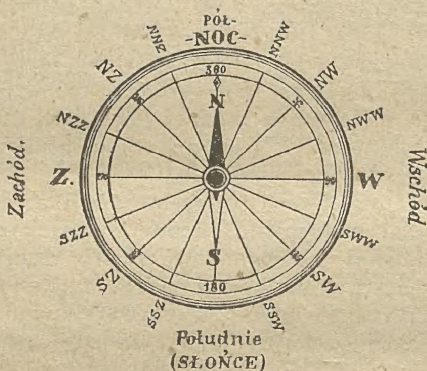
W czasie ciszy na froncie — stosuje się loty ćwiczebne, czyli przesyła się za pomocą gołębi raporty ranne lub wieczorne. „Służbę“ swą na froncie pełnią gołębie na zmiany, uskuteczniające zazwyczaj co 48 godzin, o ile, rozumie się, nie przeszkadzają temu warunki bojowe.

CO TO JEST KOMPAS?

(Porównaj: „O orientowaniu się z pomocą mapy i busoli” Wiarus № 1 i 2).

Wynalazek kompasu zawdzięczamy ciekawej właściwości magnesu, polegającej na tem, że, mając swobodę ruchu, układa się on w pewien specjalny sposób, tak, że jednym końcem wskazuje w stronę bieguna północnego, drugim—południowego.

Wynalezienie kompasu nastąpiło prawie w tym samym czasie, co i wynalezienie prochu strzelniczego, Dokonał tego włosz *Flavio Gioja z Amalfi* w 1302 roku. Podobno chińczy-



cy znali tę ciekawą właściwość magnesu już w XI wieku, a królowie ich, udając się w podróż, posługiwali się figurkami wskazującymi kierunek. Polegało to na umieszczeniu figurki na mocnym magniesie, tak, aby prawa ręka znajdowała się nad sztabą magnetyczną. Przyczem sztaba ta była osadzona na pionowej osi i mogła się obracać.

Najprostszy dzisiejszy kompas składa się z puszkki metalowej, osłoniętej szklaną tarczą, wewnątrz której obraca się swobodnie igła magnetyczna dokoła osi pionowej. Końce tej igły przesuwają się pod, lub obok koła, zaopatrzonego w podziałkę na stopnie. Koło to nazywa się *rózą wiatrów* i posiada oznaczone kierunki świata, przyczem północ wypada na 0° , wschód na 90° , południe na 180° i zachód na 270° . Istnieje jeszcze szereg podziałek pośrednich—odpowiadających połowie i jednej czwartej kąta—pomiędzy kierunkami zasadniczymi.

Główną częścią składową kompasu jest owa igła magnetyczna, czyli igła zrobiona albo z magnesu naturalnego, albo

z żelaza odpowiednio namagnesowanego. Igła taka układa się nie w kierunku południka ziemskiego ¹⁾, lecz magnetycznego, odchylonego od poprzedniego o pewien kąt, różny w różnych miejscowościach. Na ziemiach polskich odchylenie to jest zachodnie, przyczem dla Warszawy wynosi 4°.

Ponieważ przyjęto oznaczać na ziemi wszelkie kierunki względem południka ziemskiego, musimy przeto poznać to odchylenie kompasu od właściwego kierunku i uwzględniać je przy odczytywaniu wskazań.

Jeśli dajmy na to igła wskazuje w Warszawie, że posuwamy się pod 45°, to odejmując 4° (zachodnie odchylenie odejmujemy,—wschodnie dodajemy), otrzymamy kierunek względem południka ziemskiego—wynoszący 41°.

Dla większej czułości igła kompasu znajdować się musi zawsze w położeniu poziomem, co otrzymujemy przez nastawienie całej puszkii kompasowej według poziomnicy (libelli), w jaką każdy lepszy kompas jest zaopatrzony.

Igła umieszczona jest na ostrzu stalowem lub irydowem ²⁾ w rubidowym ²⁾ kapturku, tak, aby ostrze było jaknajcieńsze. W chwili, gdy kompasu nie używamy, należy podnieść igłę z pomocą łapek ostrza i docisnąć do szklanego wieka. Dzięki temu ochronimy ostrze i kapturek od zbytecznego tępienia.

Po za opisanym kompasem istnieją jeszcze t.zw. kompasy pływakowe—o wiele czulsze — stosowane na morzu i w lotnictwie. Budowa ich jest bardzo złożoną, są one znacznie większe i cięższe, jednakże opierają się na tej samej zasadzie, co i kompas wyżej opisany.

Z teorii i praktyki wojskowej.

Koleje i służba kolejowa.

Były czasy, kiedy nie doceniano znaczenia kolei żelaznych dla celów wojennych. Dopiero z biegiem czasu gorzkie doświadczenia wojenne oświectliły w całej pełni przysługi, jakie walczącym armiom mogą przynieść kolej i służba kolejowa.

Jeszcze w roku 1848 gen. Aster, szef inżynierii i jedna

¹⁾ Południkiem ziemskim dla danej miejscowości nazywamy najkrótszą linię przeprowadzoną po powierzchni ziemi od bieguna północnego do południowego i przechodzącą przez daną miejscowość.

²⁾ Minerały.

z owoczesnych niemieckich powag wojskowych, pisał; że praktyka wojenna nie wykazała wyższości linii kolejowych—jako środka komunikacyjnego—nad szosami. Już jednak w roku 1859, w czasie wojny Austrii z Włochami i Francją, znaczenie linii kolejowych zaznaczyło się tak wybitnie, iż Moltke, szef sztabu armii pruskiej, omawiając zwycięski pochód włosów, musiał zauważyć: „że najważniejszym środkiem, prowadzącym do osiągnięcia zwycięstwa była kolej“. Nie mniej wyraźnie zarysowała się ważność kolei w czasie wojny krymskiej (1853—1856), podczas której Rosya, dzięki brakowi połączenia kolejowego z frontem pod Sewastopolem, nie mogła wyzyskać swojego lepszego wojennego położenia nad armiami Turcyi, Francyi, Anglii i Sardynii, zdanemi na daleki dowóz morzem. Musiała ona w końcu uleść, gdyż dochodziło do tego, że wysyłane na Krym wojska jej po drodze grzęzły i przepadały w śniegach całymi pułkami. To samo potwierdziła i wojna amerykańska Stanów Północnych ze Stanami Południowymi (w l. 1861—1865). Z upadkiem głównych punktów umocnionych, broniących sieci kolejowej, „nastąpiła klęska i kapitulacya Stanów Południowych“. Do użytkowania kolei w wojnie koniecznym jest wyćwiczony personel ruchowy, wojskowy i robotczy, niezbędny do budowy nowych linii kolejowych, naprawiania uszkodzonych, a więc plantu, tunelów i mostów, niszczenia urządzeń kolejowych przed napierającym nieprzyjacielem. Poza tem trzeba z góry przygotować odpowiedni materiał zapasowy, budowlany i transportowy (części składowe mostów, szyny, maszyny, wozy i t. p.).

Udowodniły to—wojna austriacko-niemiecka w r. 1866 i wojna niemiecko-francuska w r. 1870. W pierwszej z nich, dzięki brakowi odpowiednio wyćwiczonych i zorganizowanych sił techniczno-kolejowych, wojska niemieckie wielokrotnie cierpiały głód z powodu powolnego postępu prac nad uruchomieniem kolei, zniszczonych przez wojska austriackie. W drugiej, dzięki podobnym brakom, armia niemiecka pod księciem Fryderykiem Karolem zmuszona była iść piechotą i zdołała tylko z trudem nadażyć na czas i wystąpić przeciwko prącym na Paryż francuzom, co dla całej kampanii mogło mieć decydujące znaczenie.

To też okres po roku 1870—71 zaznacza się w Niemczech wielkim rozwojem pracy na polu kolejarstwa. Zbudowano sieć kolejową przy współudziale fachowych powag wojskowych tak, żeby odpowiadała zarówno celom handlowym, jak i wojskowym. Następnie już od r. 1913 posiadały Niemcy zorganizowane trzy pułki kolejowe, osiem kolejowych batalionów i jeden oddział ruchowy.

W czasie mobilizacyi formowano kompanie budowy kolei,

kompanie ruchu i kompanie robocze. Kompanie budowy były przydzielane do dyrekcji budowy kolei, inspektoratom etapowym do budowy i ruchu kolejek polowych, dalej wojskowym dyrekcjom kolejowym do budowy nowych linii, uruchomienia linii zniszczonych i tymczasowego ruchu na nich, następnie armiom oblężniczym do budowy kolei łącznikowych, polowych i dostawowych, wreszcie szefowi kolei polowych do budowy, odbudowy i niszczenia linii kolejowych.

Kompanie ruchu i robocze również miały odpowiednie przeznaczenia.

Wszystkie te formacje były już w czasie pokojowym odpowiednio przygotowane i obmyślane. Taksamo były opracowane i wypracowane wszystkie plany aż do najdrobniejszych szczegółów. Trzymano w pogotowiu na czas wojny zarówno materiał ludzki, jak i techniczny.

To też kierownictwo armii niemieckiej, walcząc w obecnej wojnie na dwa fronty: zachodni i wschodni, mogło podjąć swym wielkim i ciężkim zadaniem. Rozporządzało ono jedną armią na wschodzie, drugą na zachodzie, a trzecią na kolei, dzięki czemu ciągle szachowało to jednego, to drugiego przeciwnika. Naturalnie, wojna wytworzyła dużo położeń, wymagających nowej twórczości, a częstokroć licznych improwizacji na tem polu; grunt jednak był, były gotowe fachowe siły, wyszkolone oddziały i gotowy materiał techniczny, co jest podstawą każdego działania. To też dokonywano nadzwyczajnych czynów militarynych, wieńczonych laurem zwycięstwa.

Jak bywało i jak bywa w wojsku.

LUCJAN OSTEN.

Z wspomnień o roku 1812.

„O roku ów! kto ciebie widział w naszym kraju!

. ; dotąd lubią starzy

O tobie gwarzyć.

Dnia 14 września 1812 r. wkroczył Napoleon I na czele swych zastępów do stolicy carów, do Moskwy, której mury już od przeszło 200 lat obcych wojsk nie widziały.

Cesarz ze swym sztabem i wyborowemi pułkami rozstawał się w Kremlu, podczas gdy reszta wojsk rozsypała się po całym obszarze rozległej stolicy.

Legii nadwiślańskiej zaś — wcielonej do korpusu gwardyi — polecono zająć stanowiska w wschodniej części miasta po za bramą Siemionowską i tu zasłaniać armię przeciw ewentualnym ruchom nieprzyjaciela.

Żołnierzom nie bardzo spodobał się ten rozkaz, za to oficerowie z radością go powitali. Obawiali się bowiem, by nadwreżona długą kampanią i uciążliwymi pochodami karność wojskowa przez dłuższy postój w wielkim mieście nie doznała zupełnego rozprzężenia i by pułki legii nie utraciły miana „arcydzieła dyscypliny i subordynacyi”, na jakie sobie w przeszłych kampaniach u Napoleona zasłużyły.

Wiadomo, że pożar i powstały stąd ogólny rabunek miasta zdeorganizowały złożoną z wszystkich narodów Europy „wielką armię” tak dalece, że już niezdolną była do wytrzymania trudów odwrotu ku brzegom Wisły, który niezadługo miał nastąpić.

To ogólne rozprzężenie zaraziło także pułki polskie i, skoro tylko mogli, opuszczali żołnierze biwak i dążyli do Moskwy, aby w rabunku wziąć udział. Nie zapobiegły temu najostrzejsze rozkazy i groźby, ani wysiłki oficerów, by ład i porządek utrzymać; łazikostwo ustało wtenczas dopiero, skoro żołnierze, obładowani różnemi zdobyczami i kosztownościami, ale mocno poturbowani i potłuczeni, pojedynczo lub gromadkami do obozu powracać zaczęli.

Podczas tych scen rozległy się na biwaku legii sygnały alarmowe, a pułki polskie otrzymały rozkaz posunięcia się ku Pałkom, miasteczku o kilkanaście wiorst na wschód od Moskwy położonemu.

Ponieważ szeregi mocno były przerzedzone, polecono kapitanowi Brandtowi i porucznikowi Gorszyńskiemu pozostać na miejscu, zebrać maruderów i z bagażami i furgonami za legią podążyć.

Niezadługo potem zbierali się powoli zabłąkani w Moskwie żołnierze, a między nimi woltżyżer Jędrzejewski, waleczny żołnierz, ale wisus i hulaka, w całym pułku z tego znany. Ponieważ był mocno pijany, a przytem zachowywał się hardo, kazał mu Brandt wyliczyć 25 batów, której to kary, aczkolwiek zakazanej, raz po raz ze skutkiem używano.

Od tego czasu minęły trzy miesiące....

Garstka wiarusów, około 300 ludzi, szczątki trzech wspólnych niegdyś pułków legii, znalazły się przy górach Ponarskich za Wilnem; — reszta spoczywała w śnieżnych pustyniach Rosyi lub też w lodowatych nurtach Berezyny. Szczupłe te szeregi posuwały się w ponurem milczeniu za „wielką armią”, zasłaniając ją od nagłego napadu snującego się zewsząd kozactwa,

a między nimi — o kijach Brandt i Gorszyński, okryci ranami, wynędzniali, wycieńczeni, zmarznięci, obdarci, do cieni, a nie do żołnierzy podobni.

Przy wjeździe na góry Ponarskie powstały straszliwsze niż nad Berezyną chaos i zamieszanie. Licho lub wcale niekute konie nie mogły po gołoledzi podciągnąć dział i bagaży; musiano tedy porzucić wszystkie furgony — a między tymi kasę wojenną z dwudziestu milionami franków — by ratować zaprzęgi i życie.

Jak stado zgłodniałych zwierząt, rzuciła się rozwydrzona tłuszcza maruderów na garściami wyrzucane złoto i banknoty, tratując się nawzajem, rozbijając przytem szczupłe szeregi pozostałych pod bronią żołnierzy.

Ta zawierucha odłączyła rannych i inwalidów od owych kolumn, a uchodząc przed rozbewstwionym motłochem, zboczyli Brandt i Gorszyński z głównego traktu w nadziei, że boczną dróżką zdołają dogonić bratnie szeregi. Tak uszli może z pół mili, gdy przy wejściu do małego lasku opuścili Gorszyńskiego nagle siły, a, siadając pod drzewem, zawołał:

— Trudno, kapitanie, dalej nie mogę, tu się przeznaczenie moje spełni! Jeżeli powrócisz do Warszawy, powiedz ojcu i matce, gdzie i jak zginąłem.

— Niech się dzieje wola nieba, zostaję z tobą — westchnął drugi — i tak dalej jak milę nie ujdę; cierpieliśmy dotąd razem, razem więc ginmy!

I opanowało biedaków uczucie rozpacz i zwątpienia. Więc po to przebyli szczęśliwie ośmset pięćdziesiąt wiorst od Moskwy do Wilna, mimo ciężkich ran, wśród niebывałych mrozów i grożącego ze wszystkich stron niebezpieczeństwa, po to uszli śmierci nad Berezyną, w tylu rozmaitych potyczkach, a przed chwilą z pogromu ponarskiego, aby teraz, bliscy celu długiej wędrówki, w ojczystym kraju, opuszczeni przez rodaków i kolegów, marnie ginąć z ręki kozaków lub zbirów, albo też stać się żerem dla zgłodniałych wilków... to straszne!

Tak rozmyślając, błądzili łzawemi oczyma po śnieżnych polach — lecz nigdzie zagrody, ani domu, ani żywej duszy, skąd pomoc przybyćby mogła; tylko hen daleko migotał na horyzoncie jakoby poruszający się, a z każdą chwilą większe rozmiary przybierający czarny przedmiot. Ku niemu też skierowali całą uwagę i zdawało im się, że rozpoznają dwóch jeźdźców, pędzących — co koń wyskoczy ku drodze, przy której spoczywali.

— To kozacy — mruknął Gorszyński — skoro nas dopadną, to się losy nasze rozstrzygną.

Lecz cóż to! im bliżej owi kozacy, tem wątpliwszy ich wygląd.

— Widzę konie, kolego, ale gdzież jeźdźcy?

— Zdaje się, że to wózek zaprzężony w parę koni.

Któż zdoła wyobrazić sobie zdziwienie i radość naszych bohaterów, skoro po upływie kilku minut zatrzymały się przed nimi, kożuchami i derami wymoszczone, wygodne sanie, zaprzężone w dwa dzielne rumaki, a kierowane wprawną ręką tegoż Jędrzejewskiego, który niedawno z rozkazu kapitana Brandta tak doraźną otrzymał karę.

— Na Boga, co tu panowie robicie? Prędko na sanie! Nie mamy ani chwili do stracenia, kozacy pędzą tuż za mną.

To mówiąc, pochwycił dzielny wojak jednego i drugiego, wpakował w sanki, otulił kożuchami i, popędziwszy rumaki, pomknął jak strzała za maszerującymi wojskami francuskimi.

— To łaska Boża, to cud — powtarzali raz po raz oficerowie, nie wiedząc czy to sen, czy rzeczywistość; ale oprzytomnieli, skoro dziarski woźnica wydobyl z zanadru kawały chleba, obłożone szynką, i w dodatku butelkę z doskonałym likierem.

Tak pokrzepieni i w ciepłe kożuchy otuleni, dotarli po kilku godzinach szalonej jazdy do miasteczka Iwie, przepelnionego pułkami francuskimi. Ale przezorny Jędrzejewski tu się nie zatrzymał, zapewniając:

— Że francuzi i inne włochy nas pomordują i konie zabiorą; tylko między naszymi będzie nam bezpiecznie.

I rzeczywiście, kilka wiorst za miastem dojechali legii, witani okrzykami radości przez towarzyszy broni, bo już ich wszyscy za straconych uważali.

Lecz niedługo tu bawili; już bowiem nazajutrz musieli z rozkazu pułkownika Malczewskiego wyruszyć do Torunia, by przygotować dla powracającej z nieszczęsnej wyprawy legii kwatery, furaze, broń i mundury.

Dowiózł ich tam Jędrzejewski, a po załatwieniu polecenia udali się w trójkę do domu rodziców Brandta w okolicy Inowrocławia, gdzie, otoczeni opieką i serdeczną gościnnością, wypoczęli po trudach uciążliwej kampanii. Tu też codziennie niemal wynagradzali sownie i dziękowali swemu wybawcy, ale mimo prośb i zaklinań nie dowiedzieli się, skąd, gdzie i jakim sposobem zdobył owe konie, sanie i furaze. Milczał wołyżer — jak zakłęty.

Dnia 18 października 1813 r. cofały się z Lipska niedobitki armii napoleońskiej. Beładną rejteradę zasłaniał książę Józef Poniatowski z dywizją polską. Pierwszą linię zajął pułk legii nadwiślańskiej z wysuniętą kompanią wołyżerską, rozsypaną w tyralierę. Przed frontem tejże, śledząc ruchy nacierającego

nieprzyjaciela, stał kapitan Brandt, obok niego zaś porucznik Gorszyński, a kilka kroków dalej na prawem skrzydle kompanii kapral Jędrzejewski. Z spokojem, jako starzy, doświadczeni żołnierze, oczekiwali zbliżenia się nawałnicy, z silnem postanowieniem zginąć z honorem, bo zwycięstwo tu niemożliwe.

Huknęła jedna salwa, druga... potem rozległ się przeciągły grzechot ognia karabinowego, pomieszany z łomotem bębnow, okrzykami „hurra”, „Vive l'empereur“, „Jezus Maryja!“ Błysnęły bagnety — a kiedy po uporczywej, krwawej walce opadły dymy i kurzawa, powstała wskutek zmagania się w śmiertelnym uścisku tysięcy ludzi, spostrzegli nadbiegający z pomocą towarzysze ciężko rannego Brandta, wleczonego do niewoli, a kaprala Jędrzejewskiego z przestrzeloną piersią między poległymi. Tylko Gorszyński wyszedł nietknięty z tej krwawej potrzeby i podążył na pola Szampanii, aby do końca bronić gasnącej gwiazdy Napoleona.

Feliks Szukiewicz: Na pograniczu Litwy.

Urywek z pamiętnika.

V

— Oho — odezwał się mój milczący towarzysz — nawet na takich finezyjach służby znają się wasi żołnierze.

— Cóż chcecie, parę tygodni ćwiczeń musiało zrobić swoje, zwłaszcza z tak młodym i podatnym rekrutem, mającym wrodzoną już żyłkę żołnierską.

— Żeby tylko do boju szli z taką ochotą, jak na plac musztry — wtrącił mój towarzysz, widocznie pesymista.

— Ha, to się pokaże i, wierzajcie mi, prędzej, niżby to było do życzenia. Jestem tego pewnym, że Bakłanow, satrapa suwalski, niezadługo nas tu zwęszy przez swoich szpiegów, a wtenczas będziemy mieli wnet wojsko na karku.

Przy wejściu do obozu towarzysz mój przystanął. Spodrzegłem na jego twarzy wyraz niemałego zdziwienia. Spodziewał się może ujrzeć szereg namiotów, jak to bywa w obozach regularnego wojska, a tymczasem spotkał się z widokiem raczej biwaku, niż obozu. Namioty byłyby dla nas i za kosztowne i za trudne do przenoszenia. Tylko dla jednego pułkownika Wawra, naczelnika największego w województwie oddziału, człowieka wiekowego, rozpinano jakąś szatyrę cygańską, szumnie nazywaną namiotem. My, reszta, młodzi dowódcy i oficerowie,

poprzestawaliśmy na naprędcie skleconych szalaszach z gałęzi, fikcyjnej ochronie przed chłodem i nawałnicą. Szeregowcy szukali dla siebie schronienia pod obwisłymi konarami drzew, znajdując nieraz wcale wygodne łoża pomiędzy nadziemnymi korzeniami jedlicy, łoża wysłane miękkim mchem, z pięścią za poduszkę i siermiężką za kołdrę. Że takie sypianie nie pociągało za sobą szkodliwych dla zdrowia skutków, świadczył znikomy procent chorych w naszych obozach. Pamiętam, że najokropniejszego kataru pozbyłem się po pierwszej przespanej dosłownie w kałuży nocy.

— Uważam — zagadnąłem mego towarzysza — że obóz nie sprawił na was dodatniego wrażenia.

— Ach, wcale nie to. Uderzyła mnie ogromna malowniczość obrazu. Da on porównać się chyba z koczowiskami nogajców, jakie widywałem na Kaukazie.

Rzeczywiście nie trzeba było być artystą, żeby odczuć piękno widoku. W tej popołudniowej godzinie jedna połowa polany pławiła się w potokach światła, podczas kiedy drugą pokrywał już głęboki cień. W tém rembrandtowskim oświetleniu niektóre grupy powstańców rysowały się ostro na tle zieleni, inne z zartartym konturem tworzyły tylko plamy barwnością ubrań. A rozmaitość tych cstatnich była wielka. Lepiej we wszystko zaopatrzone oddziały południowych województw były podobno umundurowane, lecz w naszych północnych o jakiejś jednostajności stroju nie było mowy. Każdy miał na grzbiecie to, w czem przybył do obozu. A że oddział mój składał się przeważnie z chłopów, więc i strój chłopski był dominującym, chociaż bynajmniej niejednakowym.

Zależnie od zamożności, a jeszcze bardziej od fantazyi, buńczuczny parobczak, wstępując w szeregi narodowe, przywdziewał co miał najlepszego, przyozdabiając dodatkami, które w jego mniemaniu najlepiej odpowiadały godności wojaka. U jednego sukmana sięgała za kolana, drugi podkasywał lub zgoła obcinał jej połę, przez co powstawały kubraki i kurty rozmaitej długości i koloru. U niektórych szerokie szarawary wchodziły w wysokie buty, lecz najczęściej parciane spodnie ścisnęły u kostki rzemieńnię łapci. Przepasanym był każdy. Jedno tylko nakrycie głowy mieli wszyscy tego samego kroju, chociaż różnych barw, a to dzięki pracowitym rączkom po dworach i dworkach, które wyrabiały tyle konfederatek, że ich dla wszystkich starczyło. Brak umundurowania, mający w ruchawce nawet dobre strony, nie dawał się odczuwać tak dotkliwie, jak brak żołnierskiego rynsztunku: tornistra, ładownicy, a zwłaszcza tej ostatniej. Jak tu bez ładownicy uchronić od zamoczenia amunicyę? Radzono sobie — jak

kto mógł, nosząc nabeże w kieszeniach, w zanadrzu, nawet w cholewach. Ratowały sytuacje do pewnego stopnia skórzane kaletki, w których lud nasz nosi kozik, krzesiwo i pieniądze. Takie kaletki miała większość ludzi w oddziale. Ta różnorodność oświetlenia i barw, to przypadkowe ugrupowanie powstańców tworzyły nadzwyczaj malowniczą całość, która uderzyła Dadjana. Miało to wszystko w sobie coś teatralnego, coś udatnie zaaranżowanego przez reżysera, bo mimowolna — nawet u ludu — poza towarzyszy nam wszędzie. Tkwi ona chyba w naszej naturze.

— Oddałbym chętnie tę malowniczość do stu katów — rzekłem, przerywając milczenie — w zamian za trochę rzemieni. Sądzę, że najlepiej będzie, jeżeli was od razu wprowadzę w tok służby. Uniknie się przez to niepotrzebnych uwag i domysłów. Czy zgoda?

— Czyńcie ze mną — jak uważacie za właściwe. Przystałem do was, żeby służyć waszej sprawie i mojej niewinności. **Jestem gotów.**

Wyszliśmy z gęstwiny.

Przyłożywszy do ust gwizdawkę, wydałem krótki sygnał.

— W braku bębna i trąbki — tłómaczyłem Dadjanowi — posługuję się gwizdawką. Jedno krótkie gwizdnięcie jest sygnałem do stawania w ordynku bez broni, jak do rannego i wieczornego apelu. Zakrawa to trochę na zbójckie zwyczaje, ale, jak widzicie, skutkuje, a o to mi tylko chodzi.

Istotnie, na odgłos gwizdawki w oka mgnieniu zaroilo się obozowisko od spieszących na swe miejsca powstańców i po kilku minutach cały oddział uszykował się w dwóch szeregach.

Stałem na środku przed frontem i zakomenderowałem:

— Baczność! formuj czworobok.

Rozległa się komenda plutonowych oficerów, oddział połał się na cztery części i, zachodząc od prawego i lewego, uformował czworobok nie gorzej od batalionu na Saskim placu. Stałem w środku czworoboku z moim dotychczas nieodstępnym towarzyszem.

— Państwo oficerowie, proszę do mnie.

Czterech wystąpiło z szeregow. Miarowym krokiem podeszli do mnie i, salutując, czekali co im powiem.

— Przedstawiam panom — rzekłem — kapitana Ładygę, oficera jazdy moskiewskiej, a mego zastępcę. Przyjmijcie go po koleżeńsku do swego grona, udzielcie mu porady, a w razie potrzeby i pomocy. Dziś jeszcze zatrzymam go przy sobie, a od jutra polecam waszej przyjaźni.

Sprostowanie do artykułu „Wisła”.

Jeden z czytelników naszych (p. Wł. Martyński) powiadomił nas listownie, że podany w artykule, jako istniejący obecnie, prom pod Rachowem — został zamieniony przez stały most drewniany, wzniesiony pod koniec 1917 r. przez władze okupacyjne.

Z prawdziwą przyjemnością umieszczamy nadesłaną uwagę.

Redakcja.

ŻYCIE ŻOŁNIERSKIE.

Ś. p. Kapitan KONSTANTY ALEKSANDROWICZ (KOSTEK).

Dn. 6 września r. b. zakończył życie w szpitalu garnizonowym w Krakowie, na skutek rany odniesionej w polu, kapitan 5 pp. Leg. Polskich Konstanty Aleksandrowicz (Kostek).

Śmierć jego obudziła szczerzy żal wśród wszystkich współtowarzyszów broni, a zwłaszcza podkomendnych.

Zmarły, ze względu na zasługi bojowe i zalety osobiste, należał do rzędu tych postaci, które złotemi zgłoskami zapisały się w historii 5 pp. i Legionów.

Urodził się w Warszawie w r. 1884. Po skończeniu 5-ego gimnazjum służył jako ochotnik w litewskim pułku gwardyi. W randze chorążego brał udział w wojnie rosyjsko-japońskiej. Po wyjściu z wojska był słuchaczem politechniki w Pradze Czeskiej, a następnie pracował w kopalniach nafty w Borysławiu. Na pewien czas przed wojną przeniósł się do Krakowa, gdzie brał żywy udział w ruchu strzeleckim.

Z wybuchem wojny obecnej znalazł się w szeregach legionowych. Z początku jako dowódca plutonu, a potem kompanii w 5 pp.—brał udział we wszystkich walkach I brygady. W ataku pod Stawyhoroszem — ranny w nogę—opuścił szeregi, do których stan zdrowia powrócić mu już nie pozwolił.

Cześć pamięci dzielnego żołnierza!

Zgon.

W połowie września zmarł w Warszawie podchorąży Edmund Kupść, lat 33. Zmarły osierocił żonę i synka.

Mogiły powstańców.

W miejscowościach, gdzie podczas powstania z r. 1863 staczano bitwy, znajdują się mogiły poległych powstańców do tej pory zaniedbane. W kilku gminach postanowiono zająć się doprowadzeniem mogił do porządku, ogrodzić je i postawić krzyże drewniane. W pow. Rawskim mogiłami zaopiekowały się niektóre kółka rolnicze, uchwały postawić skromne pomniki.

Rocznica wymarszu hufca śląskiego.

W dniu 21 września 1914 r. odjechał z Cieszyna hufiec ochotników śląskich, aby połączyć się z Legionami. Oddział liczył 500 doskonale wyćwiczonych i kompletnie wyekwipowanych ludzi. W Mszanie wejelono go do 1 batalionu 3 pułku brygady karpackiej. Ślązacy wraz z podhalanami nadali temu sławnemu szturmowemu batalionowi własne piętno. W licznych bitwach karpackich, bukowińskich, besarabskich i wołyńskich hufiec został starty doszczętnie. Przestał on istnieć dnia 5 listopada 1915 r. w bitwie o Polską Górę na Wołyniu, gdzie legł komendant oddziału Jan Łysek, znany poeta śląski wraz z kilkudziesięciu towarzyszami broni.

Proces przeciw legionistom polskim.

Z Marmaros Sziget donoszą: kapitan legionów polskich, zastępca szefa sztabu legionowego Henryk Pomazański, odmówił, jako świadek, odpowiedzi na podstawie 190 par. wojsk. proc. karnej.

Dr. Lieberman wykazał prawo świadka do tego kroku.

Prokurator kapitan Ustyanowicz przyznał słuszność odmówieniu zeznań; zaznaczył jednak, że świadek może odmówić odpowiedzi tylko na te pytania, które go osobiście dotyczą.

Trybunał po dwugodzinnej naradzie rozstrzygnął, że świadek ma prawo na podstawie ustawy nie zeznawać, poczem kap. Pomazański opuścił salę.

* * *

W związku z działalnością b. majora Nieniewskiego na stanowisku szefa sztabu P. K. P. wytoczono mu śledztwo sądowe, a sprawa ma być rozpatrywana przez sąd dywizyjny.

Były major wojsk polskich, szef audytoryatu P. K. P. Artur Ganczarski, przydzielony został do komendy wojskowej w Serajewie w charakterze c. i k. kapitana-audytora.

Szef sanitarny Legionów, podpułkownik lekarz dr. Wojciech Rogalski, obecnie c. i k. lekarz sztabowy (w randze majora), otrzymał przydział służbowy do szpitala wojskowego w Villach (Styrya), gdzie znajduje się kadra wojskowych lekarzy, z której ci rozsyłani zostają na różne stanowiska.

Onegdaj przed południem gen. Zieliński zjawił się u gen. Schillinga z prośbą o wydanie mu marszruty na wyjazd do jednego z miejsc kąpielowych na Węgrzech, a to w celu odpoczynku po 6-miesięcznej udręce.

Kasyno podoficerskie.

Dzięki inicjatywie por. Brożka i plut. Wojciechowskiego istnieje od 15 maja przy pierwszym baonie I p. p. w Ostrowiu „Kasyno podoficerskie“, w którym podoficerowie wspólnie jadają obiady i kolacje, dopłacając na poprawę wiktua zaledwie po 5 marek na dekadę. Mimo, że zarządowi kuchni podoficerskiej niejednokrotnie przychodzi

walczyć z trudnościami finansowemi, kuchnia prosperuje bardzo dobrze (zorganizowano podobną również w trzecim baonie) i skupia ogół podoficerów, którzy na wspólnych obiadach, gawędząc i żartując, mile czas spędzają.

Na otwarciu kasyna obecni byli: dowódca baonu, kap. Witozeniec, z adjutantem, tudzież dowódcy kompanii pierwszego baonu. Na uroczystości tej wygłosił dowódca batalionu przemowę, w której podniósł znaczenie podoficera dla armii wogóle, a wojska polskiego w szczególności. Kasyno podoficerskie uczciło czwartą rocznicę wymarszu strzelców w pole specjalną kolacją, którą zagaił dłuższem przemówieniem sierżant Brummer, podkreślając znaczenie zbrojnego czynu Legionów wobec apatyi społeczeństwa, którego wani i spory doprowadziły — jak się wyraził mówca—do tego, że mieliśmy w tej wojnie wiele najrozmaitszych wojsk polskich, a nie zdołaliśmy zbudować jednego karnego wojska polskiego. Następnie przemawiali podoficerowie: Lindenburg i Wojciechowski, poczem zbierano spisy według dawnych przydziałów taktycznych. *Kolega.*

Listy z obozu w Ostrowiu-Łomżyńskim.

III.

Przed rokiem. Ogrody. Park 2 p.p. Wizytacja obozu przez Dyrektora Komisji Wojskowej. Zaprzysiężenie rekrutów. Sympatyczne objawy. Żołnierska zabawa w 2 p.p.

Kto w październiku roku ubiegłego miał sposobność przebywać w obozie tutejszym, ten nigdy w życiu nie zapomni obrazu zniszczenia, spustoszenia i opuszczenia we wszystkich zakątkach obszernych zabudowań żołnierskich i oficerskich. Nieprzebyte kałuże błota przed budynkami koszarowymi, leżące odłogiem całe morgi wyśmienitego gruntu w przylegających sadach owocowych, brak ogrodzeń, a nadewszystko góry śmieci i rumowisk jeszcze z czasów rosyjskich — oto środowisko zewnętrzne, wśród którego nieliczni pionierzy wojskowości polskiej zaczęli pracę nad postawieniem szkół podchorążych i podoficerskiej, oraz kadr dla przyszłych formacji wojska naszego.

Nie minął rok, a Ostrów zmienił się do niepoznania. Pozostały jeno nietknięte wstrętne budy poza obrębem obozu. Wewnątrz obozu, dzięki wyteżonej pracy żołnierzy i oficerów, uskuteczniło tak gruntowne zmiany, że nieliczni cywile, przyjeżdżający do nas, poznać nie mogą Ostrowia. Przedewszystkiem rozwinęliśmy się liczebnie. Szkoły, liczące dziś z górą 900 ludzi, odeszły do osobnych budynków artyleryjskiej brygady i stanowią dziś osobną całość. Jeszcze przed 1 maja r. b. — kiedy to organizowano dwa pułki 1 brygady piechoty — przeniesione z Zegrza kursy rekrutów, poza szkoleniem zawodowem, rzuciły się do pracy nawskroś cywilnej. Zawrzała ro-

bota w sadach i ogrodach, zakrzątnięto się koło plantowania gruntu, usuwania śmieci i rumowisk. Wkrótce trzy bataliony 2 p.p. miały pięknie obrobione sady owocowe i ogrody warzywne. Każda kompania dziś, w czas złotej jesieni, nietylko zbiera jarzyny, owoce, ziemniaki, ale posiada piękne ogródki kwiatowe. Symboliczne klomby przed budynkiem III baonu 2 p.p., urządzone w kształcie legionowych odznak, kwitną całą tęczą jesiennych barw. Dużych rozmiarów klomby ozdobne, wyobrażające Orła i Pogoń, rzucają się w oczy tuż przy wejściu do koszar.

Zapuszczony ongi park przerzynają dziś liczne, piaskiem wysypane aleje. Obszerna estrada dla orkiestry przed wielkim klombem dopełnia całości wzorowo utrzymanego ogrodu spacerowego, w jaki zamieniono obrzydliwe śmietnisko. Zdarzają się jeszcze przeróżne chwasty, jak pokrzywy na klombach, lub czysto „legunowe” dowcipy pisane na ławkach, ale i to z czasem ze wzrostem kultury żołnierskiej przeminie.

Nie chcemy w listach z obozu chwalić poszczególnych oficerów lub przełożonych, dlatego nie wymieniamy z nazwisk tych, którzy pracy tej odnowicielskiej dali początek. Spełnione dzieło jest rezultatem zbiorowego wysiłku oficerów i żołnierzy, a w pierwszym rzędzie przynosi chwałę całej brygadzie, jako zbiorowości.

Wyras temu dał niedawno ks. Franciszek Radziwiłł, który na zaproszenie dowództwa I brygady i Inspektoratu szkół piechoty odwiedził wraz z pułkownikiem Januszajtisem Ostrów.

Wizyta ta oficjalnego przedstawiciela naszego rządu wywarła bardzo silne wrażenie na żołnierzy. Krótka trwała ona, zaledwie pięć godzin niecałych, ale przedstawiciele Komisji Wojskowej mogli dzięki sprawności i wyszkoleniu obydwu pułków wyrobić sobie dokładne pojęcie o tej sumie pracy i tych wysiłkach, na jakie zdobywa się codziennie szary, zapominany tak często Ostrów.

Serdecznem uczuciem nacechowane przemówienie księcia Radziwiłła do żołnierzy i do oficerów obydwu pułków piechoty, krótki pobyt w koszarach artyleryjskich w obrębie obydwu szkół, przegląd ćwiczeń w poszczególnych kompaniach, oraz końcowa defilada pozostawia niezatarte wrażenie wśród wizytowanych.

Możemy napisać słowami ks. Radziwiłła: *„Tu, pośród was, wi- dać w realnym czynie ową oczekiwaną, a tak pożądaną konsolidację polskiej polityki“*.

Nazajutrz po wizycie odbyło się zaprzysiężenie 100 przeszło nowozaciężnych z 2 p.p. Wrześniowe słońce ozłociło lufy karabinów, zagrało błyskawicami na klingach szabel oficerów, kiedy padały ostatnie słowa przysięgi, odczytywanej przez kap. Smorawińskiego.

Trzykrotny okrzyk na cześć Najdostojniejszej Rady Regencyjnej, odegranie przez orkiestrę hymnu „Jeszcze Polska nie zginęła”,

a później żołnierska prosta przemowa odbierającego przysięgę o tem: jak świętą szatą jest mundur wojskowy, jak należy dbać o jego cześć, jak pięknym jest zawód żołnierski, w którym koleżeńskość i umiłowanie towarzyszy broni stać powinno narówni z uczuciami braterstwa i ochrony słabszych i potrzebujących opieki.

Dziwiły się zapewne stare sosny i brzozy w przyległym lasku, że takie dziś słowa do żołnierzy z ust przełożonych padają, gdy niedawno jeszcze, przed laty pięciu, rozlegały się tu moskiewskie polajanki.

Życie żołnierskie nie jest tu tak bardzo wesołe i bez troski, jak było w Legionach. Zwarte ramy regularnego wojska niejedną indywidualność zatrzeć zdołają, niejeden talent nawet zmarnują, ale ogólny rezultat zawsze będzie dodatni. Zadaniem każdej pracy zbiorowej nie może być wyróżnianie jednostek, lecz całych zespołów.

Rzadkie są tu chwile beztroski, poświęcone zabawie żołnierskiej. Otóż 8-go września 2 p.p. wystąpił w swoim „lasku” i na polach ćwiczebnych z zabawą dla żołnierzy. Otwierało zabawę corso kwiatowe cyklistów—żołnierzy, później piłka nożna i piłka ręczna „Szcypiorniak”, dalej humorystyczno-ekwilibrystyczne zawody *Buffalo-bill*, tańce, śpiewy, a nadewszystko bufety i loterya fantowa. W zawodach piłki nożnej zwyciężyła drużyna 1 p.p. drużynę 2 p.p. z rezultatem 3:0. O zmroku na zabawie zabłyśły różnokolorowe ognie bengalskie i wzbily się w górę ogniste węże rakiet. Fantów najróżnorodniejszych na loteryę dostarczyło w znacznej ilości Koło Pań z Warszawy, zaś 120 fantów zakupiono z pieniędzy pułku. Ogólny dochód z zabawy 620 marek, koszty wyniosły marek 549—czyli czysty zysk 81 marka, który oddano do dyspozycji komisji rozrywkowej 2 p.p.

R. Z. U.

SPIS TREŚCI: Wincenty Łopaciński: Gen. Ign. Prądzyński.—Feliks Gwiżdż: Uparty.—J. K. Latour: O karabinie maszynowym.—S. Wotowski: Sport i wojskowość.—Poczta gołębia.—Co to jest kompas.—Z teorii i praktyki wojskowej: Koleje i służba kolejowa.—Jak bywało i jak bywa w wojsku: Lucjan Osten: Ze wspomnień o r. 1812.—Feliks Szukiewicz: Na pograniczu Litwy.—Życie: S. p. Kapitan Konstanty Aleksandrowicz (Kostek). Zgon. Mogiły powstańców.—Rocznica wymarszu hufca śląskiego.—Proces przeciw legionistom polskim. Kasyno podoficerskie.—Listy z obozu w Ostrowiu Łomżyńskim. 3

**Przedruk artykułów dozwolony
za dokładnem podaniem źródła.**

Redaktor Dr. **WACŁAW TOKARZ.**

Za pozwoleniem cenzury niemieckiej.

Druk L. Billńskiego i W. Maślankiewiczza Nowogrodzka 17.